

BARTOSZ
ADAMIAK

Sukhub
i inne opowiadania

© Copyright by Bartosz Adamiak, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora.

Korekta: ekorekta24.pl

Zdjęcie na okładce: pixabay.com, CC0

ISBN 978-83-940178-2-8

Wrocław 2016

<http://bartoszadamiak.com>
<http://autorniezalezny.pl>

Sukhul

i inne opowiadania

Pani Wilków

Sam nie wiem – powiedział Jan Hern, waząc w dłoni spory młot bojowy.

Był to jeden z pierwszych chłodniejszych dni w roku. Przemierzali na wierzchołach szary, ciemniejący las, oglądając łup, który zdobyli na rozbrojonym kilka godzin wcześniej rozbójniku.

– Młot bojowy to bardzo odpowiednia broń dla ciebie – ocenił Arktus, przypalając sobie fajkę. – Z takim młotem już z daleka wyglądasz jak ktoś, kogo należy traktować poważnie – zapewnił.

Hern uniósł młot wysoko w jednej ręce i spróbował zakręcić młynka. Narzędzie było ciężkie, wykonane z hojnie okutej dębiny. Niezbyt poręczne. W dodatku, w przeciwieństwie do miecza, który dało się ukryć w pochwie, młot wymagał ciągłego trzymania w rękach lub przytroczenia do kulbaki.

– Może wygląda w porządku, ale jest cholernie niewygodny – stwierdził Hern w końcu.

Jechali wolnym tempem. Nigdzie im się nie spieszyło. Okoliczna przyroda, choć nieco ponura, napawała ich bardzo pozytywnymi uczuciami. Gęsty mieszany las piął się bardzo wysoko, niemal zasłaniał lekko zachmurzone niebo. Z pewnością pełen był małych mieszkańców. W powietrzu unosił się zapach grzybów i wilgoci. Arktusowi od razu przypomniało się, jak bardzo jest głodny.

– Może zrobimy jakiś krótki popas? – zaproponował.

– W porządku – odrzekł Hern. – Czujesz to? Przed nami jest wioska smolarzy. Może nas ugoszczą.

Przejechali jeszcze kawałek, nim Arktus też poczuł charakterystyczny zapach smolarek. Wkrótce pośród drzew ujrzeli pierwsze kopce, w których prażono drewno. Tu i ówdzie snuli się czarni na twarzach smolarze, ponurym wzrokiem witający przybyszów w miejscu, o którym wszyscy woleliby nie pamiętać. Niskie, pełne wilgoci ziemianki nie wyglądały zachęcająco, jednak Hern uparł się, by sko-

rzystać z gościnności smolarzy i przy okazji wypytać ich o wieści z okolicy.

Ugościł ich Thom, człowiek względnie młody i względnie światowy. Wśród smolarzy oznaczało to, że bywa od czasu do czasu w najbliższej wiosce, by kupić zapasy żywności, narzędzia czy inne potrzebne rzeczy, a co za tym idzie – sprawnie komunikuje się z innymi ludźmi.

– Smolarze nie potrzebują zbyt dużo gadać – rzekł, nalewając do drewnianych misek zupę z grzybów. – W sumie można by powiedzieć, że jestem kimś w rodzaju wójta.

Arktus ożywił się nagle.

– Ja też jestem wójtem. W swojej wiosce oczywiście.

Jedzenie nie było zbyt dobre. Smolarzom kończyły się zapasy soli, więc używali jej bardzo oszczędnie. Zupa okazała się jednak gorąca i coś tam w niej pływało, więc mogła choć na chwilę wypełnić żołądki.

– Jak tu żyjecie? – spytał Hern, czekając, aż jego porcja przestygnie nieco.

Thom wzruszył ramionami.

– Jakoś się żyje. Wstajemy o świcie, jemy śniadanie i zabieramy się do roboty. W okolicach południa schodzimy do ziemianek na krótki odpoczynek i miskę zupy z grzybów. Życie w wiosce to nie jest może to samo co zgiełk Majeronii, ale większości z nas to odpowiada.

– Nie czujecie się samotnie pośród tych borów? – zapytał Arktus.

Wioska rzeczywiście znajdowała się w samym sercu gęstych, nieprzebytych lasów. Do niemal każdego cywilizowanego miejsca było przynajmniej kilka dni drogi. Thom jeździł na handel nie częściej niż raz w miesiącu.

– Idzie się przyzwyczaić – odparł. – Czasem śmiejemy się, że nasza mała społeczność przypomina nieco klasztor. Mamy tutaj swoją samotnię, codzienne rytuały i bardzo dużo pracy. To bardzo proste, ascetyczne życie. A jak jest z wami?

Arktus pokrótce streścił, jak było z nimi. Thom słuchał z fascynacją, jednak po chwili się opanował i wrócił na ziemię. Hern zapytał, czy nie potrzeba czegoś w wiosce, bo jeżeli tak, w drodze powrotnej mogliby to podrzucić. Smolarz

zaprzeczył. Wszystko, czego potrzebowali, było tutaj, w lesie. A to, czego nie było w lesie, przywoził ze swoich wyjazdów.

Po południu Hern i Arktus zwiedzili całą wioskę i podjęli decyzję, że przenocują i wyruszą w dalszą drogę dopiero o świcie. Gdy Thom ich opuścił i powrócił do swoich obowiązków, spacerowali razem pomiędzy ziemiankami i kopcami, w których kryły się piece do prażenia drewna.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – zapytał Hern.

– Bo ja wiem... Ten Thom to straszne dziwadło. Aż ciarki mnie po plecach przechodzą – odparł Arktus. – Nie jest to miejsce, w którym mógłbym osiąść na starość. Bardziej niż kurort przypomina kolonię z ciężkimi robotami.

– To dobrzy ludzie. – Hern zatrzymał się i rozejrzał dookoła.

Nawet tutaj, pośród dymiących kopców smolarek, piękno natury atakowało ze wszystkich stron. Drzewa były wysokie i rozłożyste. Jednak bór otaczający wioskę zdawał się ciemny i niepokojący, zwłaszcza teraz, gdy słońce skry-

ło się za drzewami i zapanowała szarówka, wzmocniona przez siwy dym płynący powoli w powietrzu.

Zostali ulokowani w ziemiance Thoma, ponieważ jako jeden z nielicznych nie miał on rodziny. Lokum składało się wprawdzie z jednej, średniej izby, ale każdy znalazł dogodny kąt, w którym mógł się ułożyć do snu. Thom nie miał łóżek ani sienników. Sam spał w czymś na kształt fotela na biegunach. Gościom polecił skorzystać z worków ze zbożem. Po ułożeniu kilku warstw skór stanowiły one całkiem wygodne legowisko. Dla wierzchosłów znalazła się przytulna wiata, osłonięta od wiatru.

Jeszcze po zmierzchu niektórzy smolarze trwali przy stanowiskach. Nigdzie im się nie spieszyło. Rozpalili kilka ognisk, a niektórzy raczyli się kolacją na świeżym powietrzu. Hern, Arktus i Thom schowali się do ziemianki, gdy zrobiło się nieco chłodniej, i odszypuntowali antałek z winem, który wydobyli wcześniej z troków wierzchosłów. Wino było słodkie i mocne. Bardzo rozgrzewające. Idealne na długi, jesienny wieczór. Nie rozmawiali już zbyt dużo,

tylko polewali do kubków i sączyli, wpatrując się w pełgające płomyki świec.

Po północy, kiedy na zewnątrz panowała już niemal absolutna cisza, rozległo się ujadanie psów. Thom chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić, co się dzieje. Nie wracał przez dłuższą chwilę, więc Arktus się niepokoił. Hern rozlał ostatnią porcję wina i nucił jakąś starą przyspiewkę o nimfach, które obmywają się w potoku.

– Coś tam się, do cholery, dzieje? – odezwał się wójt, stojąc u wejścia do ziemianki.

– Dajże już spokój. Napij się.

– Wydawało mi się, że słyszałem wycie wilka.

– I nie dziwota. To bardzo piękne, opustoszałe lasy. Wilki muszą się tu świetnie czuć. Z pewnością watahy podchodzą nieraz pod wioskę, ale nie widziałem tu żadnych zwierząt hodowlanych.

– A nasze wierzchosły?

– Dadzą sobie radę – uspokajał Hern. – Zresztą: jak usłyszymy, że coś się dzieje, zareagujemy. To tylko wilki.

Thom w końcu przyszedł do ziemianki, ale nie uraczył gości wyjaśnieniami. Zamknął tylko porządnie drzwi i wrócił do swojego, napełnionego już kubka.

– Dawno nie smakowałem tak zycznego napitku. – Uśmiechnął się. – U nas takie towary to rzadkość. Pieniędzy starcza na rzeczy najpotrzebniejsze. Zresztą może to i dobrze... Na pustkowiu łatwo popaść w desperację. A podsycanie złych nastrojów alkoholem nie może prowadzić do niczego dobrego – wyjaśnił, a po chwili dodał jeszcze: – Oczywiście nie dotyczy to sytuacji takiej jak dzisiejszy wieczór. Dziś jest powód do świętowania, bo odwiedzili nas znakomici goście.

– Cała przyjemność po naszej stronie – odparł Hern, przymykając już oczy i ziewając.

– Zbudź nas, proszę, gdy tylko sam się obudzisz – dodał Arktus, odstawiając próżny kubek na stół. – Mam nadzieję, że noc będzie spokojna. Słyszałem wycie wilka.

– Tak... Wilki mieszkają w tych borach i czasem nas trochę niepokoją. Ale nie macie się czego obawiać. Potrafimy sobie z nimi radzić.

– W razie czego zbudź nas.

Hern już chrapał. Mimo iż dzień spędzili niemal w całości na popasie, obaj czuli dojmujące zmęczenie. Arktus odpassał miecz i położył go tuż przy swoim posłaniu, by w razie nagłej potrzeby szybko go odnaleźć. Młot Herna spoczywał przy wejściu. Łowczy przez ostatnie dni jak zwykle nie miał broni, bo zapodział gdzieś tasak. Zapewne, zgodnie z podejrzeniami Arktusa, stało się to podczas tego popasu, gdy spotkali trzy niewiasty obmywające się w jeziorze. Hern wziął dwie z nich w krzaki, wójtowi zostawił zaledwie jedną. I tasak zaginął.

Thom zbudził ich w środku nocy. Drzwi do ziemianki były otwarte. Z zewnątrz dochodziły głośne ujadania psów, rżenie wierzchosłów i odgłosy ludzkich rozmów.

– Co się dzieje? – spytał półprzytomnie Hern.

– Przepraszam, że was fatyguję, ale mamy jednak problem z tymi wilkami – usprawiedliwił się gospodarz. – Cholerne bestie zaatakowały wioskę.

– Zaatakowały wioskę? – powtórzył z niedowierzaniem łowczy.

– Tak... to chyba nie są tutejsze wilki. Jakiś inny gatunek. Są większe i dużo bardziej agresywne. Jakąś godzinę temu wartownik słyszał odgłosy wskazujące na to, że doszło do walki między dwiema watahami. Sądzymy, że te obce zaatakowały te tutejsze.

– Nadzwyczajne – mruknął Arktus, wciąż rozłożony na workach.

– Rzeczywiście, nie spotkaliśmy się jeszcze z taką sytuacją. Sądziliśmy, że przejdzie to jakoś bokiem, ale dwadzieścia minut temu wilki weszły do wioski. Zaatakowały wartownika. To prawdziwy cud, że nic mu się nie stało. Przepłoszył je, jednak wiemy, że łążą wokół. Widać ich ślepia. I słyhać je w mroku. Myślę, że muszą być wygłodniałe.

– Tak, to by tłumaczyło ich dziwne zachowanie – odparł Hern, zbliżając się do wyjścia.

– Nie bierzesz młota? – wtrącił Arktus.

– A, tak... – Łowczy zarzucił sobie ciężki młot na ramię. – Jak wygląda rozkład sił?

– Wilków jest mniej więcej dziesięć. Może dwanaście – odparł Thom. – Nas w tej chwili pod bronią jest już dwudziestu. Wydaje mi się, że nie powinno być żadnych problemów. Rozpalamy ogniska. Zwierzęta raczej nie podejda do ognia. Zwykle nie podchodziły.

– Tak, to dobry pomysł. Gdybyście rozlali dziegciu na obrzeżach wioski i go podpalili, powstałoby coś na kształt ognistego pierścienia. Nie wydaje mi się, by wilki mogły pokonać taką barierę – zaproponował Hern.

– Jarwad właśnie to robi. – Smolarz wskazał głową miejsce pograżone w ciemności.

– Pójdę mu pomóc. Ty, Arktusie, spróbuj zorganizować obronę wewnątrz kręgu.

– Jasne. Do zobaczenia później.

Rozeszli się. Łowczy oddalił się w mrok, rozjaśniany jedynie mgłą opalizującą w świetle księżyca. Wyteżając wzrok, zdołał w końcu dostrzec postać snującą się na granicach osady. Jarwad był mocno zbudowanym mężczyzną o gęstej, rozrastającej się na boki brodzie i równie niesfornej czuprynie. Rozlewał dziegieć na rozdeptaną trawę wprost z drewnianej beczki. Nieco dalej, pośród drzew, mamrotały wielkie bure wilki. Mimo iż były przeraźliwie wychudzone, rozmiarami dorównywały dorosłemu człowiekowi. Było ich znacznie więcej, niż oszacował Thom. Tylko po tej stronie wioski Hern naliczył siedem lub osiem sztuk. I faktycznie nie były to zwykłe wilki. Wpatrywały się w człowieka z nienawiścią, podczas gdy zwykły wilk, jako zwierzę, podlegał w większym stopniu prostym instyktom niż emocjom.

– Parszywe bestie! – Jarwad splunął.

Hern wyjął krzesiwo i skrzesał parę iskier na niewielką ilość wełny, którą wydłubał z pępka. Dziegieć zajął się jak marzenie.

Nagle z centralnej części wioski dobiegły okrzyki. Łowczy pobiegł tam, unosząc młot. Cholerny, nieporęczny młot bojowy. Na miejscu zastał Thoma i kilku smolarzy.

– Gdzie Arktus?

– Zabrali go!

– Kto zabrał? Wilki?

Nie odpowiedzieli.

– W którą stronę poszli?

Jeden ze smolarzy skinął głową. Hern ruszył biegiem. Przeskoczył ogień i zagłębił się między drzewa. Wszędzie wokół widział ruch – pierzchające między pniami cienie. Na razie badały go tylko, starały się unikać bezpośredniej konfrontacji. Gdy wzrok przyzwyczał się do ciemności, łowczy dostrzegł więcej detali. Wilki szły wokół niego, zachowując jednak bezpieczną odległość. Były w istocie wielkie, wychudłe, pokryte rzednącą sierścią i miały wyjątkowo paskudne pyski. Nie atakowały.

W pewnym momencie Hern dotarł do polany, porośniętej wysoką trawą i paprociami. Było tam nieco jaśniej, bo korony drzew nie zasłaniały światła księżyca. Z łatwością

zauważył więc dwie postaci: jedną z nich był skrepowany Arktus, drugą – ktoś obcy. Tożsamość nieznanego pozostawała dla Herna tajemnicą ze względu na płaszcz z wilczej skóry i nakrycie głowy z wilczego czerepu.

Gdy zbliżył się na odległość pięciu metrów, eskortującego wilki rozpięzchły się na boki. Hern spostrzegł, że Arktus jest w letargu i nie ma kontaktu z rzeczywistością. Tajemnicza postać zdjęła wilczy kaptur i okazała się kobietą w średnim wieku.

– Witaj, łowczy – odezwała się. – Cieszę się, że zgodziłeś się przyjąć moje zaproszenie.

– Zaproszenie?

– No cóż... Może rzeczywiście użyłam trochę... przemocy. Jednak musisz przyznać, że było to konieczne. Gdybym tak po prostu pojawiła się w wiosce smolarzy z moimi wilkami, nie byłbyś skory do współpracy.

– Jakiej współpracy? – Kostki na pięściach Herna bieleły pod wpływem zaciskania na rękojeści młota. – Jesteś wiedźmą. Nie współpracuję z wiedźmami.

– Chyba że chcesz odzyskać swojego towarzysza żywego. – Skinęła na Arktusa. – Jeden mój gest, a wilki rozszarpią go na kawałki. Będziesz go zbierał godzinami. Nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, na jak małe części potrafią rozszarpać człowieka moje zwierzaki.

– Czego chcesz? – Łowczy nie miał ochoty przedłużać tej rozmowy bez potrzeby.

– Słyszałam o twoich legendarnych... talentach. Zostań ze mną do rana na tej polanie i wykonaj każde moje polecenie, a twój przyjaciel uniknie śmierci.

Hern zaczął się jej przyglądać. Wilczy płaszcz zsunął się na trawę, obnażając wszelkie walory wiedźmy.

Arktus obudził się z potwornym bólem głowy. W ziemiance nie było nikogo, więc zwlekł się z legowiska i wyszedł na zewnątrz. Smolarki pracowały już pełną parą. Wierzchosły stały pod wiatą. Wszystko zdawało się tak

zwyczajne i spokojne, że wójt przez chwilę sądził, iż nocna przygoda była jedynie sennym koszmarem.

– Jak się czujesz? – zapytał Hern, który objawił się znikąd, niczym duch, i wręczył mu kubek kawy.

– Jakby mnie wilk pożarł i wysrał – odparł zgodnie z prawdą Arktus.

– Dzięki mnie uniknąłeś tego losu...

– Jak to dzięki tobie? Co właściwie zaszło w nocy?

– Powiedzmy, że wyrąbałem ci drogę do wolności lędźwiami.

– Lędźwiami? O, nie! Znów w samym środku walki zajmujesz się panienkami? Pewnie nawet nie użyłeś młota bojowego!

Hern spojrział na swojego towarzysza, głaszcząc znacząco młot.

– Właściwie to użyłem...

Konwój

Jak ja się w to wpakowałem? – mruknął sam do siebie Arktus, leżąc na drewnianej podłodze zabudowanego wozu więziennego. – Jak ja się, do cholery, w to wpakowałem?

Kilka dni wcześniej

Z nastaniem jesieni Hern oświadczył, że musi odwiedzić jedno miejsce na wschód od Axii. Świątynia starowierców znajdowała się w mrocznych borach, otoczonych ze wszystkich stron mokradłami. Arktus nie był szczególnie zachwycony perspektywą brodzenia po kolana w wodzie pełnej gadzin wszelkiej maści. Postanowił zostać w Axii i poczekać, aż łowczy załatwi swoje szemrane interesy.

Gdy jednak nadszedł dzień umówionego spotkania, Hern się nie pojawił. Wójt przeprowadził krótkie dochodzenie, które pozwoliło mu ustalić, że jego towarzysz trafił do

wieży miejskiej z tytułu pobicia jakiegoś paniczyka. Po krótkiej i niezbyt udanej interwencji w ratuszu Arktusowi udało się spotkać z łowczym.

– No i co znowu nabroiłeś? – spytał, podchodząc do krat.

Hern był w doskonałym nastroju, choć jego twarz wskazywała na ciężką przeprawę ze strażnikami miejskimi.

– Z pewnością ucieszy cię fakt, że udało mi się załatwić sprawy w kamiennym kręgu – odparł Łowczy.

– Radość wprost mnie rozsadza.

– Miło mi to słyszeć. Powróciwszy do Axii, uznałem, że należy to uczcić. A że pozostał jeszcze jeden dzień do naszego spotkania i nie miałem pojęcia, gdzie mógłbym cię znaleźć, udałem się do zaprzyjaźnionego zamtuza, by tam... zanocować. Znasz mnie, Arktusie, w każdym mieście mam bezpieczną przystań.

– Naturalnie. – Wójt przewrócił oczami ze znużeniem.

– Więc zamówiłem karafkę najznakomitszego wina, które od lat serwują w owym przybytku. Zwą je Nektarem Miłości i jest to według mnie nazwa w pełni uzasadniona,

albowiem po spożyciu człowiek czuje się natchniony do czynów heroicznych. W obrębie alkowy. W dodatku poznałem dziewczyny...

– No tak – westchnął Arktus. – Dlaczego nie dziwnie mnie fakt, że znajduję cię w celi, a ty zaczynasz mi opowiadać o winie i kobietach?

– Nużą cię kobiety i wino? To przejdźmy dalej. – Hern poprawił się na wiaderku pełniącym funkcję sedesu. – Przepraszam, że tak w trakcie toalety, ale nie karmią tu najlepiej. No więc wtedy pojawił się ten lalusz, który ewidentnie nie potrafił się zachować w miejscu, w którym się znalazł. Obrażał dziewczęta i w ogóle. Postanowiłem dać mu naukę i była to naprawdę piękna walka. Ja mu przyłożyłem z prawej, on postawił blok. To ja mu lewy sierpowy, on znów blok. On natarł, ja zrobiłem unik. Potem trafiłem kilka razy w brzuch, ale i on trafił. Raz przywalił tak mocno, że padłem na podłogę. Choć tak po prawdzie, zwyczajnie pijany już byłem i nie zdołałem się utrzymać. Tak, piękna walka... Doceniłbyś ją, gdybyś tam był. Niestety zjawily

się przydupasy kasztelana i rzuciły się na mnie grupą. Nie dało rady...

Arktus podrapał się po nieogolonej brodzie.

– Wszystko już wiem. Poszedłeś do burdelu, wdałeś się w bójkę i trafiłeś do wieży – podsumował. – Czegóż mogłem się spodziewać? Chyba nie tego, że wykorzystasz ten jeden dzień, by zdobyć zapasy żywności na drogę powrotną do Parsevii.

– Wiesz, jaka jest miłość...

Po opuszczeniu wieży Arktus udał się do karczmy, w której wynajmował pokój przez te kilka dni, gdy czekał na Herna. Opłatę uiścił z góry, już pierwszego dnia, więc teraz tylko spakował swoje rzeczy, których zresztą nie było zbyt dużo, i zszedł na dół, by posilić się trochę.

Plan odbicia Herna zrodził się w jego głowie podczas konsumowania kaszy z gulaszem. Pierwotnie rozważał powrót do swojej wsi, jednak wpatrując się w parującą miskę,

poczuł nagły przypływ sentymentu. Przypomniwał sobie te wszystkie dziwaczne przygody, które spotkały go u boku Herna. Były do tego stopnia nieprawdopodobne, że spodziewał się, iż nikt nie da wiary w to, co on opowie po powrocie do wioski.

Nagle do karczmy wkroczył strażnik. Arktus kojarzył go spod wieży. Dyskretnie obserwował żołnierza i starał się wychwycić uchem choćby skrawki rozmowy, którą ten prowadził z karczmarzem. Później, wykorzystując okazję – obiekt jego zainteresowania wychylił już kilka głębszych – wójt spróbował się przysiąść i zagadnąć na jakiś mało zobowiązujący temat.

– Słyszałem, że macie tam w wieży niejakiego Jana Herna – zaczął.

No tak... Trzy kufle lokalnego, mocnego piwa przyprawanego piołunem zrobiły swoje.

– A bo co? – Strażnik zjeżył się jak kocur, któremu ktoś naszczał w miskę, jednak po chwili podjął temat. – Tak, mamy. Łajdak pobił w burdelu jakiegoś uczciwego obywatela. Jak widać, cudzołożnicy to podłe plemię.

– Ano podłe – przytaknął ktoś ze stołu obok.

– I co z nim teraz zrobicie? Chyba nie obwiesicie go za bijatykę? – drążył wójt.

– Chętnie byśmy obwiesili, ale cięższe na nim zarzuty spoczywają. – Strażnik opróżnił kufel i beknął przeciągle. W powietrzu uniosła się woń na wpół strawionego czosnku. – Niech sobie kolega wyobrazi, że ten cały Hern to znany rzezimieszek jest. A ponadto gwałciciel i czarownik.

– Nie może być!

– A tak! Zgwałcił córkę samego króla Helgemora. Wprawdzie zgładził wcześniej smoka i księżniczkę miał za żonę pojąć, lecz zhańbił ją jeno! Ludzie mówią, że nawet kilkakrotnie. A potem zwyczajnie odjechał. W ślad za nim wyruszyli łowcy nagród, bo musi kolega wiedzieć, że za głowę tego Herna wyznaczyli olbrzymią nagrodę w złocie. No i dograł się. Do Majeronii wieźć go będą – ciągnął mocno podpity już żołdak.

– Do Majeronii aż?

– Tak. Helgemor chce na własne oczy zobaczyć egzekucję. Już tamtejszy kat miecz ostrzy. Jutro z rana konwój zbrojny ruszy. Dziesięciu chłopów go będzie pilnować.

W tym miejscu strażnik przerwał wywód, wstał od stołu i poszedł w kierunku wójtów. Arktus zamierzał właśnie zamówić kolejne piwo, gdy przysiadł się do niego typ o nieszczerze miłej aparycji, dzierżący dwa kufle.

– Można? – Postawił jeden z kuflów przed wójtem, który przez chwilę rozważał nawet odmowę. – Przypadkiem usłyszałem waszą pogawędkę. Wstyd przyznać, ale to ze mną się pan Hern pobił w zamtuzie. Tak, ja tam byłem i troszkę się posprzeczałyśmy. Wyrzuty mnie teraz trapią, jak sobie pomyślę, że taki porządny chłop z mojej winy da głowę...

– Cóż poradzić? – Arktus wypił kilka sążnistych łyków. Chciał jak najszybciej pozbyć się niechcianego towarzystwa.

Niestety. Od słowa do słowa, po kilku kuflach lokalnego starowierczego, wójt poznał paru przyjaciół oprycha, którzy zaoferowali pomoc w odbiciu Herna z rąk strażników. Arktus ochoczo na to przystał, czuł bowiem, że zda-

rzyło mu się prawdziwe szczęście. Oto miał przed sobą olbrzymi problem i brak rozwiązania. I nagle to rozwiązanie przyszło samo – przybrało postać lokalnego rzezimieszka, który przyczynił się do wsadzenia Herna za kraty.

Pili jeszcze długo i dużo, aż nad ranem wójt zbudził się na wozie jadącym w niewiadome miejsce, z potwornym bólem głowy.

– Gdzie ja jestem? – Podniósł głowę, jednak niemal natychmiast zrezygnował ze zbędnej brawury, czując, że nie utrzyma treści żołądkowych.

– Jak to gdzie, panie Arktusie? Na szlaku prowadzącym do Parsevii – odrzekł drab z karczmy. – Pomiedzy Sernikiem a Riezami droga wchodzi w niewielki wąwóz, który od lat wykorzystujemy do grabienia kupców. Zaczaimy się tam i uwolnimy pana Herna, jak obiecałem. A moje słowo droższe jest niż złoto.

– Ta jest! – krzyknął ktoś.

– Nie pozwolimy, by z naszej winy pana Herna spotkało coś złego – dodał inny głos, dobiegający z zupełnie przeciwnego kierunku.

Wójt przemógł się i w końcu uniósł głowę. Podążali leśną ścieżką, tak wąską, że wóz ledwie się mieścił.

– To nie jest szlak na Parsewię – wymamrotał Arktus.

– Jedziemy na zasadzkę. Nie możemy zostawiać śladów tuż przed tymi, którzy w tę zasadzkę wpaść mają – zaśmiał się rzezimieszek, który wydawał się hersztem bandy.

– Niebawem pozostawimy wierzchośły i wóz przy opustoszałej drwalskiej chacie i na piechotę ruszymy w stronę wąwozu.

Wąwóz rzeczywiście idealnie nadawał się na zasadzkę. Droga w tym miejscu była błotnista, ponieważ woda z deszczów gromadziła się na dnie. Teren po obu stronach wznosił się nieco i był porośnięty starymi bukami. Obecnie ziemię pokrywały pożółkłe liście, mogące stanowić idealne maskowanie. Dla złoczyńców nie była to jednak pierwsza robota w życiu. Zasadzkę urządzili nieco dalej, u wylotu wąwozu.

– Mogą się spodziewać zasadzki na dnie jaru – oznajmił herszt. – Będą tam zachowywać szczególną ostrożność. A gdy zobaczą, że w najdogodniejszym do zasadzki miejscu nic im się nie stało, poczują się bezpiecznie. Wtedy ich dopadniemy.

– Ciii, nadjeżdżają – szepnął ktoś.

Rzeczywiście: z oddali dobiegały dźwięki sugerujące, że drogą nadjeżdża wóz i kilka wierzchosłów. Potwierdziły się słowa pijanego strażnika o obstawie liczącej dziesięciu zbrojnych. Potwierdziły się także słowa herszta, że zbrojni wjeżdżali do wąwozu w wielkich nerwach i rozglądali się na boki. Zatrzymali się na chwilę i puścili przodem dwóch jeźdźców, którzy powoli zbliżyli się do dna zagłębienia, badając wzrokiem skarpy. Gdy uznali, że sytuacja nie stwarza zagrożenia, kiwnęli głową do dowódcy konwoju, po czym cały cyrk ruszył dalej.

Nie sprawdziło się tylko jedno: atak nie został przeprowadzony w momencie, gdy konwój wyjechał z wąwozu. Kiedy tylko wóz osiągnął dno jaru, z liści powstało kilku zbirów, którzy ostrzelali kuszami wierzchosły. Ranne zwie-

rzęta zaczęły wierzgać, zrzucać i tratować jeźdźców. Konwój okazał się całkowicie niezdolny do obrony przed takim atakiem, co bardzo mocno zaskoczyło Arktusa. Po kilku zaledwie minutach było po wszystkim. Rozbójnicy chodzili pomiędzy rannymi, dobijając ich siekierkami lub podrzynając gardła.

– No i udało się. – Herszt poklepał wójta po plecach i roześmiał się rubasznie. – Lada chwila pan Hern będzie wolny, a z mego serca spadnie ten straszliwy ciężar...

– Nie ma go! – krzyknął jeden ze zbirów, który zdążył już otworzyć drzwiczki powozu.

– Co?

– Pusto! Oszukali nas! Widocznie prawdziwy konwój pojechał inną drogą.

– Nie fanzol, Krychu, dobrze wiesz, że nie ma innej drogi. Chyba że naokoło. – Twarz herszta stawała się coraz bardziej purpurowa. – Sprawdź dobrze.

– No przecież widzę, że nie ma. Ślepy nie jestem! – odkrzyknął bandyta.

Nagle Arktus poczuł na gardle nóż. Narzędzie owo, jak się po chwili okazało, stanowiło przedłużenie ręki herszta zbójców, który najwyraźniej przestał żartować.

– Wygląda na to, że nici z naszej nagrody, panie Arktus – wycedził przez zęby. – Ale jak się nie ma, co się lubi... Za druha Herna też coś chyba zapłacą, co? Wskakuj do budy, bo cię każę zaraz ze skóry obłupać!

Wójtowi nie pozostało nic innego, jak tylko posłusznie wykonać polecenie. Gdy zatrzasnęły się za nim drzwiczki, ułożył się na twardej, drewnianej podłodze i zaczął dumać. Myślał nad tym, jak to się wszystko dla niego skończyło i co by było, gdyby jednak zdecydował się wrócić do swojej wioski, zamiast oddawać się w ramiona zgubnego alkoholu.

Wóz ruszył, a stukot kół zaczął odliczać czas, który dzielił ich od Majeronii, gdzie Arktus niewątpliwie uznany zostanie za współnika, a może i współsprawcę Hernowych występków, a później ścięty...

– Jak ja się w to wpakowałem? – mruknął sam do siebie Arktus. – Jak ja się, do cholery, w to wpakowałem?

Nie zajechali zbyt daleko, gdy nagle wóz się zatrzymał. Z zewnątrz dobiegały jakieś dziwne dźwięki. Być może jeden z wierzchosłów okulał lub napotkali uszkodzony most. Arktus nie zamierzał poświęcać ani jednej ze swoich ostatnich chwil na roztrząsanie tego problemu. Cieszyło go, że wóz stoi, ale jednocześnie napawało niepokojem. Na zewnątrz, pominąwszy kilka głuchych trzasków, panowała zupełna cisza. Wójt przez chwilę myślał, że zatrzymali się na popas, jednak wówczas z pewnością toczyliby rozmowy... Chyba że siedzą cicho, bo dostrzegli jakiś patrol.

Nagle ktoś zaczął szarpać się z drzwiami. Zasuwa była stara i przerdzewiała, co Arktus zdołał dostrzec, kiedy go zamykali. Wsłuchując się w dźwięki szarpaniny z mechanizmem, rozważał, czy przypadkiem zbóje nie porzucili swoich planów i nie postanowili zabić go już teraz, dla świętego spokoju. Gdy jednak drzwi wreszcie puściły i oczy przyzwyczyły się do jasności, wójt wpadł w euforię...

– Hern?

– Arktus?

– Skąd się tu wzięłeś?

– Skąd ty się tutaj wzięłeś? – Łowczy wyglądał na nie mniej zdumionego niż wójt. – No, ja byłem tutaj zamknięty, ale wiesz... Wymknąłem się, bo straszliwie mnie suszyło. Planowałem wrócić do konwoju, żeby podrzucili mnie jeszcze do Parsevii i uciec na dobre dopiero tam, ale znalazłem na drodze zabitych strażników i zmartwiłem się trochę, bo to w sumie niewinne chłopcy były. Wykonywały tylko swoją robotę. Stwierdziłem, że należy ukarać tych, którzy dokonali tej straszliwej zbrodni.

– A więc...

– A więc w końcu się spotykamy, Arktusie, i możemy kontynuować podróż. Muszę teraz udać się na północ.

– Na północ?

Wójt nie był w stanie wydobyć z siebie w miarę składnego zdania. Poczuł, że kręci mu się w głowie i że...

– Potrzebuję odpoczynku – powiedział w końcu.

– Nie wygłupiaj się. Dopiero co odpoczywałeś w Axi.
Ruszajmy...

I tak oto udali się w dalszą podróż. Oczywiście nie od razu. Nie obyło się bez dzikiej awantury, którą Arktus urządził po tym, jak jego opowieść o napadzie na konwój została skwitowana przez Herna krótko i dosadnie:

– Partactwo.

Hern i sukkub

Właściwie Arktus sam nie wiedział, jak doszło do tego... do czego doszło. Jednego wieczoru rozkoszowali się doskonałym opium w jednej z palarni Majeronii, drugiego zaś dojeżdżali, wyczerpani całym dniem w siodle, do gospody, którą Arktus widział po raz pierwszy w życiu, choć przebywali szlak z Majeronii do Parsevii po wielokroć. Gospoda o nazwie „Pod psim łbem” znajdowała się kawałeczek za skrzyżowaniem wiedz, wśród wysokich topoli.

Ciągle oszołomiony Hern zsiadł z wierzchosła i powolnym krokiem ruszył do drzwi gospody, pozostawiając zwierzę jego losowi. Ciężko powiedzieć, czy był zły, czy zmęczony. Arktus niewiele pamiętał z ostatnich godzin. Czuł, jakby w jego głowie szalało stado pijanych kotów zamkniętych w jednym, niedużym worku.

Za Hernem ciągnęła się bruzda, którą w błocie zostawiał przypasany u jego boku dwuręczny miecz niewiadomego pochodzenia. Być może wygrany w karty lub skra-

dziony jakiemuś paniczykowi. I tenże właśnie miecz przykuł szczególną uwagę właścicielki gospody, która na widok nowo przybyłych rzuciła szmatę na blat i napełniła dwa kufle ciemnym, mocnym piwem.

– Witajcie, przybysze – powiedziała. – Widzę, że mości panowie zbrojni. Żołnierze króla Helgemora może?

Hern opróżnił kufel jednym haustem, tak jak tylko on potrafił. A gdy odstawił próżne naczynie, beknął straszliwie.

– Nie jesteśmy żołnierzami, panienko – rzekł w końcu, przetarłszy usta rękawem. – Podróżnicy, poszukiwacze przygód, a nawet awanturnicy, ale nie żołnierze. Na niczym im żołdzie pracować nie będę.

Kobieta wyraźnie się zainteresowała. Była tęga i miała obfity cyc, więc Arktus wiedział, że Hern jej nie przepuści. Zwłaszcza że nie była jeszcze aż taka stara.

– Poszukiwacze przygód? – dopytywała karczmarka. – A jakich przygód?

– Mój towarzysz jak zwykle przesadza. – Arktus uznał, że najwyższa pora zareagować. Poza tym czuł przejmujące

ssanie w żołądku. – No... co tam macie w garach? Pokazujcie.

Kobieta jednak ani drgnęła. Jej wzrok utkwiony był w Hernie, który odpasał wielki miecz i oparł go niedbale o kontuar.

– Słyszałam o was – powiedziała. – Ty jesteś Hern, prawda?

Jan uśmiechnął się.

– Cóż... nie mam powodów, by zaprzeczać. Zwłaszcza gdy pyta tak powabna dama.

– Może znalazłby się jakiś zajac w sosie myśliwskim? Albo chociaż trochę kaszy? – Arktus wciąż usiłował prze-pchnąć rozmowę na właściwy tor, choć wiedział, że jego szanse maleją z każdą sekundą. – Zjadłbym wierzchość wraz z pęcherzem pławnym i jelitami.

– Jesteś obrzydliwy! – Hern wreszcie zwrócił na niego uwagę. – W dodatku myślisz tylko o jednym.

– Ja myślę tylko o jednym? – Wójt niemal zadławił się śliną. – Jesteśmy w gospodzie. W gospodzie się je i śpi.

– Oczywiście... do spania zaraz dojdziemy. – Hern znów się uśmiechnął i przeniósł wzrok z powrotem na gospodynię.

– Bo widzi pan, panie Hernie – kobieta odezwała się zalotnie – mam tutaj pewien problem. A zgodnie z tym, co słyszałam, jest to problem akurat z waszej branży.

– Otwieramy uszy.

Arktus jedynie wywrócił oczami do góry i z rezygnacją usiadł na zydlu.

– Moja gospoda cieszy się złą sławą... – zaczęła.

– To chyba problem dla jakiegoś kucharza albo intendenta – mruknął cicho wójt. Gospodyni chyba nie usłyszała, bo kontynuowała swoje.

– Wydaje się, że sala pełna, ale od pewnego czasu nikt nie chce tu nocować, mimo iż z Majeronii do Parsevii jest szmat drogi, a to jedyne miejsce, gdzie można zanocować w takich luksusowych warunkach.

– Może powinnaś przestać rozpowiadać o tym klientom – mruknął Arktus.

– Zaczęło się od tego, że kilku moich gości skarżyło się na... hm... zły sen.

– Zły sen? – powtórzył Hern, dolewając sobie piwa.

– Nie znamy się na siennikach... – szepnął coraz bardziej wściekły wójt.

– Ktoś w pewnym momencie puścił plotkę, że na terenie gospody zamieszkuje sukkub i nocami zamęcza mężczyzn.

Hern i Arktus zamilkli. Oczywiście tylko na chwilę, bo zaraz potem pojawiły się pierwsze głupie komentarze.

– Czy to pani jest tym sukkubem? Jeśli tak, wchodzę w to. – Hern błysnął uśmiechem, a gospodyni odwdzięczyła się tym samym.

– Gdyby mnie pan zechciał wysłuchać, z pewnością szybciej doszlibyśmy do sedna – powiedziała.

– Z pewnością byśmy doszli...

– Zatem: czy zechcieliby panowie zanocować w mojej gospodzie? – Spojrzała na nich z nadzieją. – Oczywiście na mój koszt. Czym chata bogata.

– No... jeśli za darmo... – Arktus się przeciągnął. –
Z wyżywieniem?

– Jak się panowie zdecydują zostać na noc, oczywiście
z wyżywieniem. Jeżeli to prawda, co o panach słyszałam...

Hern uśmiechnął się znacząco i pogładził głowicę mie-
cza dwuręcznego.

– Nie widzę przeciwwskazań. A ty?

– Czym właściwie jest ten sukub? – Wójt najwyraź-
niej się wahał.

– Niczym, czego nie dałoby się obezwładnić gołymi rę-
kami – zaśmiał się łowczy. – Weźmiemy dwa pokoje.

– Jak to dwa?

– Większa szansa, że coś wyrwiemy.

Gospodyni się rozpromieniła.

– No... to siadajcie do stołu, a ja pójdę przygotować
posłania i każę oporzędzić wasze wierzchoły.

Arktus długo nie mógł zasnąć. Siennik wżynał mu się w tyłek, choć zdawało się to niemożliwe. Światło pełnego księżyca padało wprost na twarz wójta i raziło niemiłosiernie. Kładł się na jednym boku, później na drugim, a gdy to nie pomogło, także na brzuchu. W końcu obrócił się głową w drugą stronę, lecz wtedy do jego nozdrzy dotarł bliżej nieokreślony smrodek, przesączaający się pomiędzy belkami stropu.

Liczył barany. Później wierzchosły. Próbował wprowadzić się w trans metodą, której nauczył go Hern, jednak wciąż nie mógł wyzbyć się niepokoju, pędu myślowego i uczucia gorąca w uszach.

Wstał i zbliżył się do okna, które wychodziło na pokrytą księżycowym blaskiem polanę. Chłód nocy na gołej skórze zawsze pomagał mu zasnąć. Po lekkim wychłodzeniu z przyjemnością wracał do ciepłego posłania i zagrzebywał się niczym stary, zmurszały kret.

Zastanawiał się, co robi w tej chwili Hern. Śpi? A może jest z gospodynią? Jeżeli tak, istniało ryzyko, że sukkub nawiedzi właśnie pokój wójta. Sprawdził, czy miecz znajduje się na swoim miejscu. Później wsłuchiwał się w ciszę nocy. Nie zarejestrował charakterystycznych jęków, do których przyzwyczało go życie w kompanii Herna. Znów spojrzął na polanę – zbierała się mgła. Teraz zaczął się niepokoić, że faktycznie się nie wyśpi i kolejny dzień będzie miał spaprany. Z drugiej strony i tak nie mieli żadnych skonkretyzowanych planów. Zamierzali udać się do Parsevii i złapać dorywczą pracę. Może trafiłby się jakiś smok. Lub wiedźma. Pieniądze się kończyły, bo Hern w ogóle się z nimi nie liczył. Nie miał umiaru w wydatkach, zwłaszcza gdy w grę wchodziły hulanki w miłym towarzystwie.

W pokoju obok Hern pogrążony był w głębokim śnie. Sukkub przykucnęła na parapecie i przez chwilę wpatrywała się w spokojnie falującą pierś mężczyzny. Bezszelestnie

zeszła bosymi stopami na podłogę, zbliżyła się do posłania i kucnęła. Czuła życiową energię, która biła od Herna. Ułożyła się obok i poczuła rozkoszne dreszcze przebiegające przez całe ciało.

– Co za bzdury – mruknął Arktus sam do siebie. – Sukkub. Też mi coś. Nagadała nam bzdur. Jeżeli wszystkim opowiada te brednie, nic dziwnego, że ludzie się nie wysypiają. To samospełniająca się przepowiednia.

Położył się wściekły, ale po chwili wstał. Wiedział, że teraz już naprawdę nie uśnie. Znów podszedł do okna i zaczął wypatrywać wśród mgieł choćby hurbusza czy babuka. Czegokolwiek, co usprawiedliwiłoby jego wkroczenie do sąsiedniego pokoju i zbudzenie Herna bez posądzenia o to, że nie mógł spać ze strachu. Wszak wcale się nie bał.

Chwycił miecz i wy dobył go ze skórzanej pochwy. Popatrzył, jak pięknie odbija się w nim światło księżyca. Wykonał kilka ruchów, zamarkował cios i postawił gardę.

– Cholera jasna! – Schował miecz i ruszył w stronę drzwi.

Gdy otworzył drzwi do pokoju Herna, ujrzał przerażający widok. Jan leżał nagi w letargu, z rozłożonymi na boki rękami. Siedziała na nim naga kobieta. Bardzo atrakcyjna, choć niepokojąco blada.

Arktus dobył miecza i krzyknął:

– Hern, zbudź się!

Hern zbudził się.

Spojrzał na wójta, a później na sukkuba. Później jeszcze raz na wójta i raz jeszcze na sukkuba. W końcu ułożył głowę na sienniku i przemówił:

– Arktusie, mam randkę. Czy mógłbyś...?

Nad ranem gospodyni nasmażyła jaj na słoninie. Zapach, który rozszedł się po całej gospodzie, był niezmierny. Arktus zwał się na dół i usiadł przy stole. Wyglądał okropnie. Gospodyni wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, co zaszło. Znała ten widok aż zbyt dobrze.

– Dopadła cię.

Wójt uniósł przekrwione oczy.

– Mnie nie. Dopadła Herna.

W tej samej chwili na schodach dało się słyszeć dziarski krok. Łowczy Jan Hern wszedł do sali z uśmiechem na twarzy, usiadł przy stoliku, głęboko pociągnął nosem nad talerzem apetycznej jajecznicy i zabrał się do pałaszowania.

Arktus przyglądał mu się ze zdziwieniem. Gospodyni także. Zobaczywszy to, Hern zamarł z widelcem w połowie drogi do ust.

– Chyba się zakochałem – powiedział. – Niestety najwyraźniej nieszczęśliwie, bo ona uciekła. Prawdopodobnie

już tu nie wróci, więc możemy uznać, że problem został rozwiązany.

Gospodyni przysiadła się do stołu.

– Nie wróci?

– Na początku było w porządku. Później jednak różnice w temperamencie stały się wyraziste. Skończyło się na tym, że wyszła, trzaskając drzwiami, i krzyknęła: „Spieprzaj, ty pojebie”.

Nocny skowyt

No! Chluśniem, bo zgnuśniem – powiedział Sie midrog i zgodnie z własną propozycją jednym haustem wychylił gliniany garnuszek grzanego miodu.

Hern i Arktus, jako ludzie obyci w świecie i dobrze wychowani, nie zamierzali obrażać gospodarza odmową. Wychylili również do dna. Wójt czuł, że zbliża się kres jego

możliwości. Przez mgłę, która spowiła go po ostatnim garnuszku, obserwował coraz bardziej rozweselonego Siemidroga, rozlewającego właśnie ostatnią porcję doskonałego półtoraka. Potężny kowal zdawał się dopiero rozkręcać przed właściwą biesiadką. Hern także był w doskonałej formie. Arktus zdążył jeszcze usłyszeć coś o konkursie rzucania toporem, po czym odpłynął w świat sennych marzeń, a jego ciało osunęło się z zydelka i z głuchym grzmotem padło na belki, którymi wyłożona była podłoga chaty Siemidroga.

– Niech sobie pośpi, biedaczyna – powiedział Hern, wycierając oczy z łez, które nabiegły mu w trakcie gwałtownego rechotania. – Ciepło tu i jak na nasze przyzwyczajenia niezwykle wytwornie. Ostatnio nieźle dostaliśmy w kość...

Siemidrog poprawił się na siedzisku na znak, że oczekuje opowieści, i sięgnął za siebie po kolejną butelkę miodu.

– Jesienią przebywaliśmy w Sevii – zaczął łowczy. – Kończyły nam się pieniądze i szukaliśmy jakieś roboty.

Trochę się włóczyliśmy, pytaliśmy tu i tam. I wtedy natknęliśmy się na tego człowieka... jak mu było... Wultar. Czy jakoś tak.

– Bywam w Sevii, ale nie kojarzę człowieka. – Kowal dolał miodu, a po chwili wydobył z barłogu pęto kiełbasy i przerwał je na pół.

– Dziękuję. No więc spotkaliśmy tego człowieka. Był podejrzanie uprzejmy, odprowadził nas do kwatery, która mieściła się w najtańszej i najpodlejszej karczmie. Obiecał zjawić się rankiem i załatwić nam robotę.

– No to miły człowiek – zaśmiał się Siemidrog, po czym stuknęli się garnuszkami i upili po kilka uczciwych łyków rozgrzewającej substancji.

– Też tak sądziliśmy. Jednakowoż gdy tylko wszystkie światła w karczmie pogasły, a ludzie ułożyli się do snu, zaatakował nas likantrop. Zrobił się okropny harmider. Zdemolowaliśmy całą izbę, kurwy powypadały na korytarz i narobiły jazgotu, a w końcu ktoś zaproszył ogień i karczma poszła z dymem. Wiedzieliśmy, że lada chwila zjawią się straże, więc cichcem zniknęliśmy w ciemnej uliczce,

bez płacenia, choć osobiście nie przepadam za takim postępowaniem.

– A co z likantropem?

– On też gdzieś się ulotnił. Jednak kilka dni później, na szlaku, znów spotkaliśmy tego Wultara. Już wtedy zaczynałem odczuwać jakiś niepokój. Polej jeszcze, Siemidrogu, bo coś chłodem powiewa.

Chata kowala znajdowała się na skraju wioski położonej w gęstym lesie. Niemal w całości pokryta była śnieżną czapą, która doskonale izolowała od zimna. Jednak wejście, choć obite skórą, musiało pozostać odkopane. Tamtędy właśnie mroźny wiatr, momentami dający się we znaki gospodarzowi i jego gościom, wdzierał się do izby.

Hern okrył niedźwiedzią skórą leżącego na podłodze Arktusa, a Siemidrog dorzucił kilka solidnych szczap drewna do pieca.

– No, mówże, człowieku, umieram z ciekawości. Dawnośmy w tej okolicy likantropa nie widzieli.

– Schwyciłem tego Wultara i zacząłem go prać po głowie. Jako człowiek był zupełnie tchórzliwym, małym ga-

dem. Wyśpiewał wszystko. Przyznał się, że jest likantropem i że został na nas nasłany przez niejakiego Niboga. Człek ów parał się przed laty czarną magią i miałem nieszczęście skrzyżować z nim swój życiorys w sposób dość, hm... kłopotliwy.

– Gadaj, gadaj – ponaglał kowal.

Z zewnątrz dobiegały gwizdy wiatru i niepokojące skrzypienie chwiejących się sosen, które niosło się w las. Hern kontynuował swą opowieść, żywo gestykulując trzymaną w dłoni kielbasą.

– Poznałem niegdyś pewną dziewczynę w Perseвии. Wiesz, jak lubię kobiety. Mógłbym je zażywać tuzinami. Jednakowoż taką jak tamta spotkałem po raz pierwszy: długie blond włosy, pełne, obfite kształty, oczy modre... No, rusałka. Z miejsca doszło między nami do afektu, który równie natychmiastowo został skonsumowany. Kilku- albo i nawet kilkunastokrotnie. Pech chciał, że ma faworyta okazała się posiadaczką męża. Owego Niboga właśnie.

Siemidrog zaklął siarczyście i napełnił garnuszki miodem.

– To pech prawdziwy: trafić na żonę czarnoksiężnika.
Ale co zrobisz? Nie przewidzisz.

– Właśnie!

– I co było potem? – dopytywał kowal.

– Nibog wtrącił dziewczynę do wieży, a za mną posłał kilku zbirów, z którymi zresztą szybko się rozprawiłem. Wiem jednak, że nie odpuścił i nie odpuści do końca swoich dni. Powiedział mi to ów Wultar.

– Właśnie... A co z likantropem?

– Wyrwała mi się hołota i uciekła. Jest więcej niż pewne, że podąża naszym tropem i wyczekuje odpowiedniego momentu, by uderzyć. Może kręci się gdzieś tutaj, w okolicy. Może obserwuje twoją chatę i planuje kolejny krok...

Siemidrog opróżnił swój garnuszek, po czym ułożył się na posłaniu, tuląc siekiere.

– Powiem ci, mości Hernie, żeście trubadurem powinni zostać, a nie wędrownym łapiduchem. Historia ta posiada wszelkie znamiona liryki, bo jest w niej miłość, zazdrość i nienawiść, a i strach człowieka przejdzie, jak tak słucha. Ale ciężko mnie, staremu wydze, doszukać się w tym

wszystkim prawdy – zaśmiał się kowal. – Ten Nibog to tak naprawdę Niebog z pewnej pieśni o łudzaco podobnej fabule. Tam księżniczkę Mojmirę uwiódł młody junak, za co Niebog skrócił go o głowę. Znam dobrze tę pieśń, bo zawsze na letnie przesilenie przyjeżdża do nas jeden minstrel, co to ją ma w swoim repertuarze.

– Junak nie mógł zostać skrócony o głowę, bo to przecież ja jestem – odparł Hern, ziewając.

Nie miał ochoty przekonywać kowala o prawdziwości swoich słów. Dorzucił solidny kawał pniaka do ognia, by w piecu paliło się przez całą noc, ułożył się na sienniku i przeciągnął. Od strony Siemidroga dobiegało go już chrapanie, które momentami wchodziło w dwugłos z chrapaniem Arktusa. Z zewnątrz nadal słychać było mroźny wiatr i skrzypienie sosen. Hern zamknął oczy i właśnie miał się oddać we władanie snów, gdy usłyszał coś jeszcze: daleki odgłos czterech łap odbijających się od śniegu i sapanie. Wszystko to narastało, wskazując, że ktoś albo coś zmierza w kierunku chaty kowala poprzez ośnieżony las.

Hern ujął w dłoń to, co miał najbliżej – pustą butelkę po miodzie. Wstał i zbliżył się do drzwi. Teraz wyraźnie już słyszał dźwięki, jakie wydaje rozemocjonowany pies lub wilk. Nie ulegało wątpliwości, że na zewnątrz znajduje się przemieniony w wilkołaka Wultar.

Łowczy uchylił drzwi i wyjrzał przed chatę. W bladym świetle księżycy ujrzał bestię o kształcie wilka, która poruszała się zarówno na czterech, jak i na dwóch łapach. Pokryta była sierścią, jednak budową bardziej przypominała człowieka.

– Wyłaż – wychrypiał likantrop. – Czuję cię! Wyłaż!

Wultar intensywnie pracował nozdrzami. W fazie likantropicznej jego węch się wyostrzał, pozwalał na bardzo dokładną analizę zapachową bliskiego i dalszego otoczenia.

Hern wymknął się na zewnątrz najciszej, jak potrafił, by nie zbudzić śpiących towarzyszy. Zbliżył się do bestii, po czym zamachnął się butelką po miodzie i trzasnął we włośchaty czerep. Likantrop padł bez ruchu na śnieg.

Arktus zbudził się z potwornym bólem głowy. Wiedział, że przesadził z miodem. W towarzystwie Herna nie potrafił hamować swoich złych nawyków. Hulał jak łowczy, a nad ranem cierpiał, zazwyczaj już samotnie. Tym razem było inaczej, bo cierpiał także kowal – pomimo twardego łba również wypił poprzedniego wieczoru o wiele za dużo.

Osobą, która cierpiała najbardziej, okazał się jednak Wultar, związany sznurkiem jak baleron. Hern spał jak gdyby nigdy nic. Po minie Siemidroga Arktus poznał, że kowal był równie zaskoczony jak on sam.

– Nie patrzcie tak na mnie – rzekł Wultar. – Dałem się podejść jak małe dziecko. Gdyby nie ten opij i bałamuciciel, już byście gryźli glebę...

Fekalny upiór

Nocą Parsevia wyglądała niepokojąco. Większość głównych ulic była wprawdzie dobrze oświetlona pochodniami, jednak pomniejsze uliczki tonęły w mrokach i sprawiały iście posępne wrażenie, potęgowane przez parę unoszącą się nad kanałami, którymi płynęły nieczystości. W ostatnich tygodniach nocne spacery nie były szczególnie bezpieczne. Zwłaszcza dla samotnych kobiet.

Dla Smulka był to kolejny wieczór, kiedy opuszczał ciepłe wnętrza wynajętej izby i wyruszał na patrol. Przystawał w ciemnych zaułkach i wypatrywał śladu życia. Czasem udało mu się coś upolować, czasem musiał obejść się smakiem. Bywało tak, że zaraz po zajęciu stanowiska dostrzegał jakąś lekkomyślną dziewczynę przemykającą pomiędzy chatami, ale w większości przypadków musiał czekać. Czasem bardzo długo. To jednak tylko zaostrzało apetyt i czyniło ofiarę znacznie smakowitszym kąskiem.

Tego wieczoru szczęście się do niego uśmiechnęło. Chwilkę pokręcił się po ulubionej okolicy i jeszcze nie zdążył się nawet znudzić, gdy dostrzegł jakąś niecnotę. Może nie pierwszej świeżości, ale Smulk nie był wymagający. Znacznie bardziej liczył się dla niego efekt niż poszczególne składniki skomplikowanej układanki. Do samego rytuału przywoływania Czarnej Materii, na ten przykład, nie przywiązywał choćby najmniejszej wagi. Doskonale zdawał sobie sprawę, iż pobratymcy uznaliby go za kompletnego partacza.

Dziewoja szła kilkadziesiąt kroków przed nim, więc przyspieszył nieco, by zmniejszyć dystans. Lubił napawać się tymi ostatnimi chwilami spokoju. Tą niezmaconą niczym ciszą nocy, którą przerwać miał wrzask przerażenia. W ostatnich niemal sekundach przyspieszał tak bardzo, iż nie ulegało wątpliwości, że ofiara go usłyszy i zacznie uciekać. Ale był to dla niego jedynie taniec godowy, który jeszcze bardziej rozpalał żądze.

Nie zwalniając ani na chwilę, włożył dłoń do spodni i się natężył. Czarna Materia, doskonale ciepła, znalazła się

w jego dłoni. Przyspieszył. Już wyciągał drugą rękę, by chwycić kobietę za ramię, gdy nagle ta odwróciła się i oczom Smulka ukazała się... męska twarz.

– Hern, bierz go!

Spomiędzy domostw wyłonił się człowiek średniej budowy, nieuzbrojony. Zaskoczony Smulk szybko pojął, że w dalszym ciągu dysponuje sporą przewagą. Nie dość, że miał do dyspozycji całą garść Czarnej Materii, to jeszcze był wyższy od obu przeciwników. Choć jednocześnie patykowaty, rachityczny.

– Stój! – zawołał ten w babskim przebraniu, zupełnie zbędnie, bo przecież Smulk stał. – Mamy cię, fekalny upiórze!

Fekalny upiór? Ano tak, wieść gminna ochrzciła go w ten sposób ze względu na lekceważący i upadlający stosunek do Czarnej Materii. Dla zwyczajnych śmiertelników był tylko szaleńcem, który rozmazywał kał na twarzach napadniętych kobiet. „Upokarzające!” – pomyślał Smulk.

– Głupcy! Nie wiecie, z kim zadzieracie!

Hern westchnął ze znużeniem.

– Pójdiesz z nami. Tylko trzymaj te brudne łapy przy sobie.

– Brudne? – Smulk niemal zadławił się śliną. – Brudne? Jak śmiesz, psie!

Już się zamachnął, by rozsmarować Czarną Materię na twarzy Herna, gdy ten błyskawicznie zrobił unik i dobywszy sporej wielkości kindżału, uderzył płazem w plecy koprofila tak mocno, że powalił go na ziemię. Smulk jednak nie zamierzał tak łatwo się poddać. Zerwał się na równe nogi i rzucił się do ucieczki wprost w mrok ciasnej uliczki.

Łowczy tylko przelotnie spojrzął na Arktusa i zrozumiawszy, że wójt w babskiej kiece na niewiele się przyda, ruszył tropem zboczeńca.

– Głupcy! Nie złapiecie mnie! – wrzeszczał tamten w cichym mroku nocy. – Ciemna Materio! Przybywaj i daj mi moc!

Nagle Hern usłyszał głośnie stęknienie. Wiedziony nagłym atakiem niepokoju, przystanął. Poczul w powietrzu nieprzyjemną woń. Wyteżył wzrok i dostrzegł w głębi uliczki degenerata wypróżniającego się wprost na ścieżkę.

– Poddaj się! Nie masz dokąd uciekać! Złapię cię, choćbym ci miał te zapaskudzone łapy poodcinać!

– Zapaskudzone? Ty plugawcze! Twoje groźby są dla mnie obrazą! Wiesz, kto mnie prowadzi? Smolisty Czart! Trzeba najwyższego poziomu wtajemniczenia magicznego, by w ogóle pojąć, z czym masz tutaj do czynienia!

– Obawiam się, że wystarczy być szaleńcem – odparł Hern, podrzucił kindżał, po czym złapał go kciukiem i palcem wskazującym za czubek głowni. – Masz ostatnią szansę. Poddaj się i chodź ze mną na posterunek straży miejskiej albo...

– Albo co, plugawy odszczepieńcze? Jak śmiesz sądzić, że jesteś w stanie powstrzymać mnie i Smolistego Czarta? Panujemy nad Czarną Mate...

Zboczeniec nie zdążył dokończyć. Nóż bezgłośnie pokonał dystans dzielący przeciwników. Wbił się wprost w jamę ustną pokraki, przeszedł między kręgami szyjnymi i wyszedł z tyłu głowy. Ostatnie tchnienie przemieniło się w bulgot, strumień krwi wypłynął na zewnątrz, by ściec po

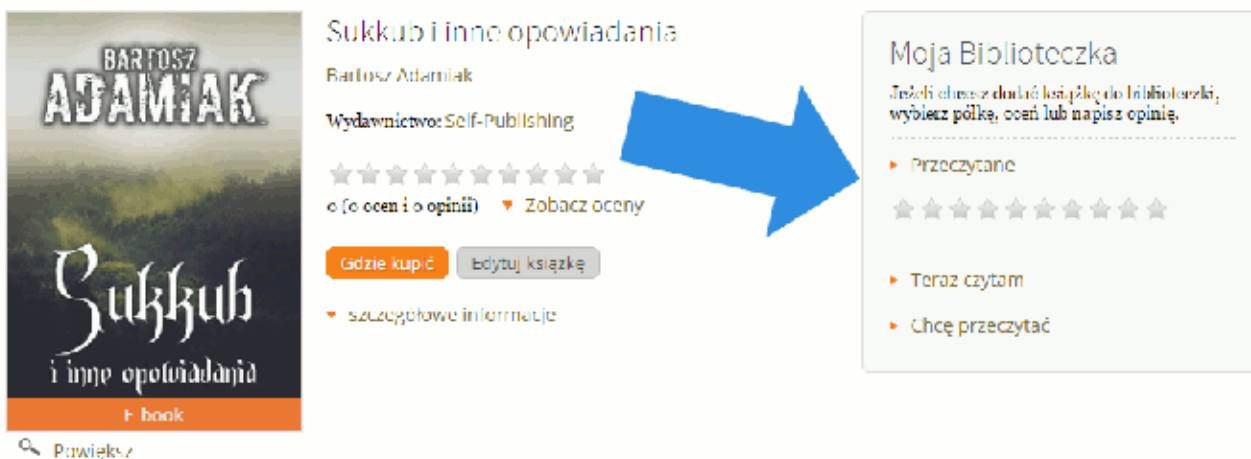
brodzie i koszuli. Fekalny upiór plasnął twarzą w to, co sam przed chwilą narobił.

Po chwili nadbiegł zasapany Arktus.

– Co mu jest? Nie żyje?

– Nie żyje – odparł Hern. – Zabił go jego ostry język.

Podobała Ci się moja książka? Chcesz więcej przygód Herna i Arktusa? Wejdź na <http://lubimyczytac.pl/ksiazka/298697/sukub-i-inne-opowiadania> i wystaw ocenę.



Sukub i inne opowiadania
Bartosz Adamiak
Wydawnictwo: Self-Publishing
★★★★★★★★★★★★
0 (0 ocen i 0 opinii) ▼ Zobacz oceny
Gdzie kupić | bczytaj książkę
▼ szczegółowe informacje

Moja Biblioteczka
Jeżeli chcesz dodać książkę do Biblioteczki, wybierz półkę, ocen lub napisz opinię.

- ▶ Przeczytane
★★★★★★★★★★★★
- ▶ Teraz czytam
- ▶ Chcę przeczytać

Powiększ